

„SZTUKA JAKO ODCISK PALCA”

(Ze Zdzisławem Beksińskim rozmawia Waldemar Siemiński)

Co zawdzięczasz w swoim mniemaniu literaturze pięknej?

Od dawna nic nie czytam. Czasami „DIALOG” i tyle... Jakoś się z czytaniem u mnie skończyło. Był taki okres zagęszczonego czytania, nastąpił chyba gdzieś między 24 a 30 rokiem życia – przeżywałem spóźnione dojrzewanie duchowe, zmieniałem się z inżyniera w malarza, pracując równocześnie w budownictwie. Czytałem obłędne ilości książek, wykorzystywałem na to każdą wolną, ukradzioną przedsiębiorstwu lub rodzinie chwilę, potem jednak zaczęło się to coraz bardziej urywać, coraz bardziej pogrążałem się

we własnej pracy twórczej, która w konsekwencji doprowadziła do całkowitego porzucenia zawodu wyuczonego, czyli architektury...

Trochę jeszcze czytałem w latach 1963-70. był to okres oczarowania ezoteryzmem, na który uwagę moją nakierował Andrzej Urbanowicz, ale to co wtedy wertowałem, to były raczej podręczniki, rozważania, eseje, polemiki wreszcie, także sutry, pouczenia i notatki Świętych Mężów – niewiele czystej literatury. Miałbym dużo trudności z odnalezieniem we własnych obrazach śladu lektur. I tych dawniejszych, i tych nieco nowszych. Kafka, Dostojewski, Borges, Tomasz Mann, Schulz, Gombrowicz, Witkacy, Robie-Grillet, Ionesco, Kubin, Orwell, Meyrink etc., idiotyczna plątanina nazwisk: wielcy i średni, wizjonerzy i klasycy, gdzie szukać u siebie zniekształconych ech tamtych lektur? Jest jedna książka, którą przeczytałem niedawno, w latach właśnie 1968-70. Jest to *Sybilla i Pielgrzym* Lagerkvista. Czytałem to w trakcie choroby, bo nie miałem nic innego pod ręką, czytałem z trudem i oporami, książka ta jednak w dziwny sposób rośnie w moim wspomnieniu, do tego stopnia, że dziś obawiałbym się konfrontacji z oryginałem. Im trudniej mi się ją czytało, tym piękniejsza wydaje się jako wspomnienie. W tym

jednak wypadku nie miałbym chyba trudności z wykazaniem wpływu na to co maluję. Nie wykluczam tu jednak pewnej paramnezji.

Wspomniałeś, że czytujesz „Dialog”. Wynika to chyba z trudności, jakie napotykasz w Sanoku jeśli idzie o obcowanie z żywym teatrem?

Teatru wręcz nie cierpię! Nie cierpię! I to tym bardziej im bardziej łamie on barierę odgradzającą widza od aktora. Jest to głęboko zakorzeniona niechęć i lęk – kilkuwarstwowe zastrzeżenia są być może tylko racjonalizacją podświadomych kompleksów czy wręcz urazów traumatycznych – sam tego nie wiem. Oczywiście upodobanie do sztuk teatralnych w formie lektury to całkiem inna sprawa, znam chyba więcej współczesnych sztuk niż współczesnych powieści. Żywy teatr to jednak przede wszystkim żywy aktor. Kontakt z żywym aktorem to dla mnie coś równie krępującego jak kontakt z kimś, kto co chwila chwyta mnie za rękę, a nie cierpię, by mnie chwytano za rękę; jak kontakt z kimś, kto co chwila wspiera się na moim ramieniu, a nie cierpię

takiego wspierania; jak kontakt z kolegą z lat szkolnych, który pragnie mnie wyczałować, a nie cierpię być wyczałowywanym przez kolegów z lat szkolnych!!! Nie chciałbym, by ktoś poczuł się urażony tym, co powiedziałem. Jest to jakieś wielkie kalectwo we mnie samym, a nie wina teatru, aktorów etc.

Czy są malarze – dzisiejsi lub dawniejsi szczególnie ci bliscy. Jeżeli tak, dlaczego ich cenisz?

Ależ ja malarstwem prawie że się nie interesuję! Od lat nie byłem na żadnej wystawie nie wyłączając swoich. Z faktu, że sam maluję, nie należy wyciągać zbyt daleko idących wniosków! Historia sztuki jest czymś, o czym mam pojęcie mniej niż mętne: taka zupa, w której od czasu do czasu błysnie coś mniej amorficznego, a to Leonardo, a to Picasso, zresztą nie przeceniaj tej identyfikacji – na pewno nie potrafiłbym wymienić i rozpoznać więcej jak trzy obrazy Leonarda i może tyleż obrazów Picassa – w sumie to wszystko pozostawia mnie raczej obojętnym. Naocznie widzę nie więcej jak dwa trzeciorzędne

obrazy rocznie oraz parę reprodukcji. Ta statystyka może też oczywiście oznaczać, że raz na pięć lat jestem na wystawie i raz na parę lat oglądam album z reprodukcjami w poczekalni u dentysty, o ile dentysta ma taki album, a nie ma czegoś bardziej interesującego. Czasem coś z tego mi się podoba, ale jest to kwestia całkowitego przypadku, że na to trafiłem, zresztą nie wysiłam się, by zapamiętać nazwiska... Po co? Między dziesięcioma tysiącami rzeczy, których nigdy nie widziałem i nigdy nie zobaczę, jest na pewno co najmniej sto rzeczy o wiele bardziej wartych zapamiętania. Jednym słowem malarstwo interesuje mnie niewiele, nie szukam spotkania z nim, spotykam się z nim przypadkowo i w sposób naturalny jak z drzewem i krową. Jeżeli czegoś szukam, używam, pasjonuję się, to jest tym przede wszystkim muzyka. Poza tym interesuje mnie trochę film...

Chodzisz więc do kina? Nie wiedziałem tego.

Nie, nie chodzę prawie do kina i to od lat. Po prostu moim marzeniem, które do dziś nie minęło, było zostanie reżyserem filmowym. Życie jakoś nie pozwoliło na jego realizację. Stąd zainteresowanie filmem lub raczej szeregiem własnych koncepcji kina. Film dla mnie to potęga potencjalna, ale z wielu przyczyn raczej niewykorzystywana. Z mego oczywiście punktu widzenia. Ideałem dla mnie byłby film, który staje się muzyką, ale nie chodzi o te dyrdymały z pulsującymi kolorami i przepływającymi formami lub inne podobne, lecz film, którego dramaturgią w sferze nie tylko chronologicznej, ale także wizualnej rządziłyby prawa zbliżone do praw architektoniki muzycznej, a nie fabuła literacka. Fabuła literacka w filmie jest dla mnie czymś tak nieciekawym, że wręcz irytującym. W najlepszym wypadku mogę ją uznać za zło konieczne. Może posługując się przykładem wyjaśniłbym ci, o co mi między innymi idzie, gdy mówię o filmie muzycznym w sensie konstrukcji, a więc np. niektóre fragmenty *Rzymu* Felliniego choćby sekwencja wjazdu ciężarówki z kranem filmowym oraz samochodu osobowego z reżyserem do miasta – zapragnąłem bić brawo, gdy to widziałem, albo scena nocnego rajdu motocykli... Fellini co chwila staje się czystą muzyką, ale też co chwila pogrąża się w literaturze. Wydaje mi

się, że on boi się zarzutu, iż ma niewiele do powiedzenia, więc też niestety mówi czasami... Każdy komentator kulturalny telewizji ma tyle do powiedzenia, że należałoby wręcz stawiać pomniki i wtyczać korony na głowy ludzi, którzy nic do powiedzenia nie mają... Mniejsza o to, odbiegam od tematu, właściwie w moim wypadku chodziło bardziej o muzykę niż o film, muzyki wreszcie słucham codziennie po 10-14 godzin dziennie. Oczywiście wyłącznie muzyki z taśm, radia i płyt, których mam setki. Zastępuje mi to doskonale nie tylko oglądanie obrazów, ale także czytanie książek.

Słuchasz zdaje się wyłącznie pop-music?

Skąd to mniemanie? Słucham oczywiście dużo pop-music, ale nie wyłącznie! Na muzyce się kompletnie nie znam, kilkuletnie bębnienie w dzieciństwie na fortepianie, w czasie którego moja nauczycielka większą zwracała uwagę na to, bym miał rozluźnione przeguby, niż na to, by mi wyjaśnić, co właściwie robię, nie nauczyła mnie przecież niczego. Wspominam to jak koszmar, któremu kres położyła utrata na skutek eksplozji

palców lewej ręki. Należę więc do Klubu Wyjącego Psa i muzykę odbieram wyłącznie bebeciami jakby to określił Witkacy. Za to odbieram jej dużo, całymi godzinami, jestem jak to się zwykło mówić osłuchany, chociaż rzecz jasna niesystematycznie, poza tym wszystko mi się stale myli, więc na Boga nie egzaminuj mnie tu z nazwisk, stylów, wpływów... Ogólnie lubię muzykę, tym bardziej nadaję się do odbioru bebeczowego, a więc przede wszystkim drugą połowę XIX wieku oraz sam początek XX, muzyka najnowsza też, ale z pewnymi zastrzeżeniami: zachwycony jestem raczej jej brzmieniem, instrumentacją, natomiast utwory traktowane jako całość są dla mnie w większości wypadków nie dość ekspresyjne, nie dość naładowane uczuciem – oczywiście nie jest to żadna krytyka z mojej strony, po prostu nie nadaję się do tego typu percepcji, jaki jest mi potrzebny i do jakiego przywykłem. W owym uczuciowym czy bebeczowym odbiorze muzyki pomaga mi piekielne nagłośnienie pracowni – zawsze wszystko jest dla mnie nie dość głośne, na skutek czego nieustanne poszukiwanie wzmacniacza idealnego, który by nie zniekształcając dźwięku wyrywał zarazem futryny z okien. Badałem się, nie mam przytępionego słuchu, ale odczuwam potrzebę, by muzyka dosłownie miażdżyła lub

rozrywała na strzępy. Okazuje się jednak, że po czternastogodzinnym nieprzerwanym słuchaniu, tylko muzyka pozwala mi równocześnie przez cały ten czas malować i to na stojąco i nie zwracać w ogóle uwagi na zmęczenie – jest to stymulator silniejszy od kawy! Oczywiście są całe obszary muzyki niedostępnej dla mnie, właściwie wszystko nieomal co było przed połową XIX wieku jest dla mnie zbyt dalekie i zbyt trudne w odbiorze. Beethoven mnie nudzi i męczy, może niektóre sonaty fortepianowe i skrzypcowe w mniejszym stopniu, ale symfonii słuchać nie potrafię, mimo iż wielokrotnie próbowałem i znam je nieomal na pamięć, jeszcze gorzej jest z barokiem, a przecież wreszcie stale słucham wszystkiego, co tylko jest dostępne na płytach, usiłuję się po prostu przyzwyczaić i to we własnym interesie, bo dla kogoś, kto słucha muzyki po 10 i więcej godzin dziennie, jest jej stale za mało, chciałbym uzyskać jakieś nowe, nadające się do eksploatacji obszary, jakieś nowe pastwiska – traktuję to wręcz jak pożywienie – ale trawa tam jest niejadalna, przejrzysta konstrukcja i brak uczucia, na pewno gdzieś ono się znajduje, ale ja nie posiadam klucza i przyzwyczajenie się par force niczego tu nie zmienia. Gdy słyszę Skriabina, to natychmiast cały mój organizm ulega jakby

podłączeniu do dźwięków wypełniających pracownię – nie ma już muzyki, której się słucha, lecz dźwięki i ja stanowimy całość, czuję się jak wąż zahipnotyzowany fujarką fakira, jak pies reagujący na harmonijkę ustną... Gdy słucham beethovenowskich wariacji na temat Diabelnego pozostaję całkowicie zimny i krytyczny – wiem, o co idzie, podążam za ideą konstrukcji, ale rzecz jest dla mnie po prostu nudna i tyle. Brak tu dla mnie możliwości zespolenia się z muzyką – istnieje po prostu jej odbiór, nic poza tym. Oczywiście w ramach tego co lubię i co lubię w mniejszym stopniu, a nawet wśród rzeczy, których właściwie nie lubię, np. Bacha, są rzeczy których słucham chętniej, których słucham mniej chętnie, i takie, których nieomal wcale nie słucham. W zdaniu tym jest tylko pozorna sprzeczność. W zasadzie lubię bowiem przede wszystkim muzykę smutną, tragiczną, patetyczną, ekstatyczną, potężną, melancholijną, neurasteniczną wreszcie, a nawet groteskową i persyflażową, ale wręcz nie cierpię muzyki pogodnej, wesołej, pełnej werwy i humory, lekkiej, żartobliwej, ludowo-skocznej i tak dalej, nic na to nie poradzę, nie muszę się chyba tłumaczyć przed tobą z własnych gustów, sam ich zresztą nie rozumiem. Poza tym bardzo lubię też muzykę ostrą, rytmiczną, stereotypową,

dawniej był to jazz, od wielu już lat jest to muzyka pop, a szczególnie stereotypowe grupy heavy rocka i hard rocka. Właściwie w słuchaniu potrafię przechodzić bezpośrednio od Brucknera do *Hudgie* czy *Nazareth* – o wiele trudniejsze jest przejście od Brucknera do Beethovena, mimo iż jest to szlak bardziej wydeptany.

Czy uważasz się za malarza awangardowego i co w ogóle sądzisz o awangardzie w malarstwie?

Nie interesują mnie spory między awangardą i tradycyjnistami, a ponadto uważam, że spory te w ogóle mnie nie dotyczą. Mam do tego wszystkiego stosunek podobny, jaki miałby zapewne gnostyk zetknąwszy się ze sporami ostatnich dwóch wieków europejskiej filozofii. Jeszcze raz podkreślam, że z faktu iż sam maluję obrazy nie musi wynikać zainteresowanie dla zagadnień estetycznych. Człowiek, który wpadł do morza, musi pływać, ale to wcale nie znaczy, że od razu rodzi się w nim zainteresowanie stylem pływania, pływactwem światowym i jego historią. Pływa po prostu, by nie utonąć –

zresztą i tak utonie, jest to więc po prostu odruch, instykt samozachowawczy lub inna nie dająca się nazwać przyczyna. Zacząłem malować, maluję, i będę zapewne malować z dwóch powodów. Pierwszy jest przyczyną, drugi jest celem. Przyczyna jest czymś nie dającym się przeanalizować, jest tajemnicza i ginie w mrokach wczesnego dzieciństwa. Mogę się najwyżej niejasno domyślać, co spowodowało, iż od najwcześniejszego dzieciństwa miałem po prostu pociąg do rysowania wszystkiego, co przyszło mi do głowy. Lata przyzwyczajania się i utwierdzenia w stereotypie wytworzyły nie dającą się niczym zastąpić potrzebę tworzenia. Cel zaś tworzenia jest trochę beznadziejny, trochę cyniczny. Beznadziejny, bo chciałbym w ten jedyny dostępny sobie sposób zwalczyć śmierć i zostać pod postacią obrazów, a cyniczny, bo zdaję sobie sprawę, że właśnie dzieło sztuki jest jedyną ze świętych krów kultury europejskiej i jako święta krowa ma większe szanse niż cokolwiek innego na szacunek, opiekę i przetrwanie.

Co więc uznałbyś za kicz w sztuce? Jaki jest twój stosunek do kiczu?

Potrzeba określenia czegoś jako kicz jest mi w ogóle obca. Z pozycji, z której patrzę na twórczość, kicz nie istnieje. Owoce twórczości są dla mnie tym doskonalsze, im bardziej określają jednostkę, która je wydała. Są czymś, co porównałbym do odcisków palców rozpatrywanych z punktu widzenia daktyloskopii. O ile zarzuci się estetykę, wtedy nie ma już odcisków palców estetycznie lepszych lub gorszych. Pozostaje tylko świadectwo tożsamości. Nie oznacza to rzecz jasna, iż z każdym, kto zostawia po sobie odciski palców, spędziłbym chętnie roczny urlop na bezludnej wyspie, czasami pięciominutowe spotkanie w tramwaju mogłoby być już zbyt męczące, niemniej podobne wartościowanie ma już charakter wyłącznie towarzyski. Podobnie jest zapewne z określeniem „kicz” dla estetów. To co dla jednych jest kiczem, dla drugich nie jest. Cóż warto jest określenie będące zaledwie inwektywą? Zdaję sobie sprawę, że pytanie, które zadałeś, ma swój podtekst: można się domyślać, że z punktu widzenia obiegowych sądów moje obrazy mogą uchodzić za świadome posłużenie się kiczem, a ja za entuzjastę tzw. estetyki kiczu. Zapewniam cię, że nic z tych rzeczy...

W ten sposób stanęliśmy wobec zagadnienia grafomanii i piktomanii – przecież to też jest ów odcisk palca, który postulujesz.

Tak oczywiście. To właśnie jest ów odcisk palca. I co z tego. Trudno rzecz jasna o czystą grafomanię, bo nigdzie nie występuje ona w stanie całkowicie bezinteresownym. Możemy zatem mówić zaledwie o tendencji. Ale w każdym razie jeżeli w jakiegokolwiek twórczości świata jest dla mnie coś cennego, to tym czymś jest przede wszystkim element grafomanii. Sprecyzuję tutaj jako tako, co sam termin znaczy dla mnie osobiście. A więc nie licząc się konieczność, wręcz przymus ekspresji własnych lub uważanych za własne treści duchowych. Niezależnie od otoczenia, od tego czy ono te treści afirmuje czy neguje, czy są modne, czy niemodne, czy za ich głoszenie wieszka się na piersi medale, czy wsadza do więzienia. W każdym grafomanie widzę brata duchowego, aczkolwiek nie zawsze to brat intelektualny. Zresztą wspomniałem już o tym. Być może, że jeszcze niedokładnie mnie rozumiesz, więc posłużę się negacją. Nie ma dla mnie nic bardziej obcego niż artysta posługujący się swoją sztuką dla celów, które nie są jego własnymi

celami, lecz na zamówienie określonych mecenasów, obojętnie czy będą nimi osoby prywatne czy państwo. Postawa taka budzi nie tyle moją odrazę, ile jest dla mego ciała niepojęta, podobnie jak oddychanie skrzelami pod wodą. Artyści tego typu są dla mnie istotami z innego wymiaru niż ja sam. Nic mnie z nimi nie łączy prócz pewnych związków technologicznych w samym mechanizmie twórczości.

Więc co myślisz o roli krytyki artystycznej?

Nie jestem krytykiem, nie zadaję sobie podobnych pytań. Jeżeli uwierzyć, że Bóg mówi przez usta każdego człowieka, a ja w to wierzę, to z ust innych ludzi, w tym także krytyków, można usłyszeć własne myśli, których się jeszcze nie pomyślało samemu. W tym ujęciu krytyk byłby sumieniem twórcy.

A jakie wobec tego kręgi środowiska i prądy malarskie wydają ci się po prostu jako obserwatorowi najbardziej interesujące?

Chyba komiks, o ile zechcesz to nazwać prądem malarskim – ja się na wasze wszystkie podziały chcę zgodzić, stąd może z twego punktu widzenia mówię nie na temat. Słuchałem przed jakimś czasem telewizyjnej dyskusji przerażonych literatów poświęconej między innymi temu, jak zwalczyć komiks. Należałoby chyba mówić o tym, w jaki sposób go wykorzystać dla swoich celów! Oto jest język nadający się do najbardziej powszechnej percepcji, a jajogłowi już go pragną zwalczać. Nie pamiętam zresztą, czy zwalczać z pozycji Awangardy czy z pozycji Okopów Świętej Trójcy, chyba nawet *viribus unitis*! Nie ulega wątpliwości, że komiks jak do tej pory nie wydał swego Dostojewskiego, lecz nie znaczy to, że wydać go nie jest w stanie, jak również nie znaczy to, że *Biesy* w wersji komiksowej są tym, o co mi chodzi! Po prostu komiks to Narzędzie i jak mi się wydaje narzędzie o bardzo szerokich możliwościach. Dziś na przeszkodzie stoi mrówcza praca rysownika, utrudniająca, a znacznej mierze uniemożliwiająca improwizację, bez której trudno wyobrazić sobie twórczość, ale gdyby proces powstawania rysunków udało się częściowo zautomatyzować, lub skomputerować,

podobnie jak to już dziś jest przy filmach rysunkowych, wtedy szybkość robienia rysunków można by zbliżyć lub zrównać z szybkością pisania książki...

Dlaczego mieszkasz stale w małym oddalonym mieście i nie przenosisz się do jakiegoś większego ośrodka miejskiego?

Zadajesz dwa pytania pod pozorem jednego. A ważniejsze jest to ukryte, więc raczej na nie odpowiem. Co znaczy słowo „oddalony”? Oddalony od centrum świata. Czyżbym ci jeszcze nie wspominał, iż odkryłem, iż środek powierzchni kuli ziemskiej znajduje się w moim pokoju, a nawet wbiłem tam gwóźdź do podłogi? To Warszawa jest oddalona od tego gwoźdźca, a nie Sanok. Jeżeli a propos tego ukrytego pytania coś bym ośmielał się zarzucić kulturze polskiej, to właśnie owo poczucie oddalenia od czegoś, co jest gdzieś, skąd nas powinni dostrzec i pochwalić lub uznać za swoich. Taki wieczny, silnie zakorzeniony kompleks pilnego ucznia czy posłusznego syna, do którego nie chcą przyznać się rodzice. Nikt nigdy nie będzie sobą, jak się będzie nieustannie oglądał, czy

ci ze Środka Świata dostrzegają go czy nie dostrzegają. Środek Świata jest tam, gdzie sam siedzę i nie jest to zaściankowość, izolacjonizm, ksenofobia, lecz poczucie własnej jedyności i autentyczności. Coś podobnego pisał Gombrowicz...

Gombrowicz powiedział, że to co może zrobić prawdziwy pisarz, to odsłonić swoje śmieszności i wstyd. Jak sądzisz, czy powiedzenie to ma jakikolwiek sens w malarstwie?

Jeżeli sztukę potraktujemy jako odcisk palca, to obnażenie się jest krokiem wynikającym z przyjętych założeń. Ale jest to postawa heroiczna i ma szansę zaledwie na ułamkową realizację. Poza tym wymaga specyficznego rozdwojenia osobowości, podziału na „siebie – obserwatora” i „siebie – obserwowanego” a więc rodzaj neurozy. Nie jestem pewny, czy występuje ona u wszystkich ludzi – mówiąc o tym narażam się więc na niezrozumienie. Oczywiście nie muszę chyba zatrzymywać się specjalnie na tym, iż tzw. Skandalizowanie najczęściej nie jest obnażeniem się, lecz przywdziewaniem stosownej

maski autodemaskatora ... Dla kogoś, kto bardziej wnikliwie popatrzyłby na swoje obrazy, nie byłoby trudno dostrzec, gdzie mieści się u mnie enklawa uświadamianej śmieszności i wstydu. Może jest ona jedną z wielu, w tej chwili jednak o niej chciałbym mówić: mam głęboko zakorzenione upodobanie do teatralności, do patosu zgoła infantylnego. Gdy mam podać pierwsze, wizualne skojarzenie od słowa SZTUKA, natychmiast widzę sztych dziewiętnastowieczny, przedstawiający młodego człowieka w malowniczo narzuconej pelerynie i teatralnie upozowanego na skale. Jest to albo Byron albo Puszkina, jest w nim także coś z obrazów przedstawiających Napoleona na Elbie. Na pewno nigdy takiego sztychu nie widziałem, lecz to kompilacja kilku zapamiętanych obrazów uzupełniona przez wyobraźnię. Na horyzoncie widać szalejące fale morskie i miotany nimi żaglowiec. Niebo zakryte jest skłębionymi obłokami, a obłoki przecięte piorunem. Mogłyby na jego tle unosić się jeszcze czarne ptaki, a na gałęzi uschniętego drzewa mógłby sobie dyndać wisielec. Jestem jak widać pozbawiony wszelkich hamulców tzw. „dobrego smaku”. Oczywiście „ja – obserwowany”, bo „ja – obserwator” mam tych hamulców aż za wiele! Na ich powstanie złożyło się całe moje wychowanie,

które w wieku XIX kazało mi widzieć skrajny upadek sztuki. Istniało jednak we mnie, wyrosłe być może na gruncie przekory, niemniej już od wielu, wielu lat bardzo głębokie przekonanie, iż sztuka zaczyna się dopiero wtedy, gdy na zenicie zapłonie siedem słońc, a czarne chmury zasłonią resztę nieba, uderzy piorun, rozedrze się zasłona w świątyni, spadnie krwawy deszcz, zewsząd miliony węży i umarli powstaną z grobów. Poza tym mile widziany jest głos z nieba lub spod ziemi i inne takie. Próbowałem na zimno włączyć do tej akcji, jakoś dokomponować, np. telefon albo raketę tenisową czy wreszcie jakikolwiek bardziej oczywisty i sprecyzowany desygnat współczesności – nie udawało się. Myślałem więc, że idzie o archetypy. Chmura, słońce, pioruny i ocean byłbym gotów przełknąć, ale co zrobić z trumną, żaglowcem, peleryną, stryczkiem? Nie są to archetypy, lecz po prostu sztafarz podjęty ze śmietnika kultury w czasie lat edukacji. „Ja – obserwator” umiem doskonale „sobie – obserwowanemu” popsuć apetyt na własną wizję. Własną w cudzysłowie i to nawet podwójnym... Bo po pierwsze nawet archetyp nie jest czymś własnym, zaś sztafarz przejęty z drugiej lub trzeciej ręki... szkoda gadać. Ale jak wytłumaczyć już nie tylko pociąg, ale nie dającą się wprost opanować potrzebę, z

którą „ja – obserwator” nieustannie kopię w tym właśnie rejonie śmietnika, gdzie są węże, trupie główki, trujące zielsko i nieżywe czarownice, a nie tam, gdzie zakwitły kwiaty i bawią się dzieci? Pytanie ma charakter retoryczny, bo „ja – obserwator” gotów już jestem udzielić ci racjonalnego wyjaśnienia. I tak dalej, i tak dalej. Owa dwoistość, ambiwalencja, pociąg, a zarazem wstyd i brak pewności, czy inni równie silnie jak ja reagują na całą tę makbetowską zupę czarownic, wywołała u mnie trwały dystans do wszystkiego, co wiąże się ze zjawiskiem własnej ekspresji na zewnątrz. Z jednej strony marzę o tym, by wypowiedzieć się szczerze i bez przemilczeń, tak więc w stylu starorosyjskim, z rozdzieraniem koszuli na piersiach i kłanianiem w pas Ziemi, z drugiej, jak to czasem bywa w snach, wolałbym na wszelki wypadek stać z boku i animować manekina, który czyniłby to za mnie, ale w sposób „sztuczny”, tak zawsze mógłbym wykręcić się: to nie ja, to ta kukła, widzicie przecież, że posługuję się nią, tylko w zupełnie innych niż sądzicie celach – nie utożsamiajcie jej, proszę, ze mną. To chyba rzuca się w oczy w absolutnie każdym obrazie. I tu leży pogrzebane owo gombrowiczowskie Dziecko...

Jesteś znany jako malarz doskonały technicznie. Czy masz wrażenie, że stale poprawiasz swój warsztat?

Jestem z tego znany? Właśnie wczoraj padło takie pytanie w wywiadzie dla Radia. Więc chyba tak... Ale to właśnie jest doskonały temat do rozważań o ślepcie na sprawy techniczne u PT odbiorców sztuki. Przecież bije mnie na głowę cała sfera drugorzędnych malarzy końca XIX wieku. Mam w malowaniu kolosalne przeszkody techniczne – maluje mi się dosłownie jak po grudzie: z prawdziwą gorliwością zgodziłbym się więc raczej ze wszystkimi, którzy mówią, że maluję po prostu źle, gdyby mi tylko określili przedtem, co uważają za malowanie dobre. Bardzo bowiem często to co inni uważają za malowanie dobre, ja uważam też za malowanie złe, a nawet czasami gorsze od własnego. Nie można bowiem odcinać zagadnienia osiągnięć czy też braku osiągnięć od zagadnienia celu, który sobie stawiam, i na którego kwestionowanie nie mam zamiaru pozwalać nikomu. Jeśli więc idzie o postawiony sobie cel, to dążę do tego, by obraz stanowił kolorową fotografię

wizji. Rozwój warsztatu w moim przypadku byłby jedynie zbliżaniem się do ideału kolorowego fotografowania marzeń.

Ale co rozumiesz przez słowo „wizja”. Czy jest to po prostu świadomy pomysł czy podświadomy impuls?

Dla mnie wizja, która stoi u początku poznania obrazu lub rysunku, i którą od biedy można nazwać także pomysłem, jest jakby-obraz czegoś, co istnieje w jakby-rzeczywistości i co w sposób niedookreślony, jeżeli idzie o lwią część szczegółów, pojawia się błyskawicznie w umyśle jako zamknięta całość. Całe lata rejestrowania tych pomysłów spowodowały jeszcze to, iż wizja jest jakby gotowym rysunkiem lub obrazem olejnym, nawet czasem wiadomo, że musi być malowana gładko lub grubo. Czyli jest to na pierwszy rzut oka wizja już niejako przetworzona i nieomal utylitarna. Tylko malować. Niestety wyraźnie widać tylko niektóre rzeczy, czasem tak niepełne wizualnie jak „ruch pełen lęku” lub „gest pełen dumy”. Zazwyczaj widać więcej, ale i tak w wielu

miejscach po prostu albo nic nie ma, albo jest coś niedookreślonego, czego nie udało się dokładnie zarejestrować w pamięci w czasie trwania wizji, które jest zazwyczaj niesłychanie krótkie, najwyżej sekunda. Tak więc problem ze „sfotografowaniem” tego mimo wszystko istnieje. Czy należy puste miejsca zostawić jak u Caravaglia czarne, czy też wypełnić je kolorową mgłą jak na obrazach Turnera, czy też po prostu pododawać wymyślone szczegóły, które by nie niszczyły atmosfery i wyrazu wizji pierwotnej? Tu wytwarza się miejsce na owe czaszki, trumny, węże i czarownice, które czekają tylko na to, by na zasadzie horror vacui wniknąć w każdy wolny fragment obrazu. A na dodatek ja się przecież ich wstydę, więc zanim pozwoli się im na wniknięcie, trzeba je jakoś wziąć w cudzysłów, uszminkować, zakłamać. Na to wszystko nie mam niestety sposobu i moje obrazy, te bardziej turnerowskie czy te bardziej pedantyczne i przeładowane, są nieustannym pełnym zde gustowania próbowaniem, którego ostateczną konsekwencją jak do tej pory jest zawsze upadek. Na marginesie chciałbym tu dodać, że odczytywanie z moich obrazów treści symbolicznych w popularno historyczno-estetycznym rozumieniu symbolizmu jest strzelaniem na aut. Nie sądzę, by moja wizja uległa zmianie, gdy

królowa zostanie zastąpiona krową, a las stadem ptaków. Tożsamość mieści się nie w znaczeniach przedmiotowych, lecz w nastroju lub może raczej wyrazie, który pragnąłbym przekazać. Czy go przekazuję, to już inna sprawa.